

Józefa Strączkowska Saj

II/422/E

© ARCHIWUM WSCHODNIE

WSPOMNIENIA
Z ŻYCIA NA ZESZANIU
W
SYBERII I KAZACHSTANIE
/ 1940 - 1946 /

43-382 Bielsko-Biała, ul. Zapora 101 - maj 1989 r.

Mieszkaliśmy w województwie Tarnopolskim, pow. Złoczów, wieś Polwarki. Ojciec Marcin był rzemieślnikiem, prowadził warsztat kowalski, ponadto mieliśmy gospodarstwo rolne o powierzchni 3 ha. Rodzina nasza była liczna - ojciec Marcin, matka Stefania, babcia Michalina i pięcioro rodzeństwa, w tym siostra mężatka Janina Skolimowska z dwojgiem małych dzieci Marysią i Urszulką, najstarszy brat Władysław służył w wojsku polskim, w czasie wojny był w niewoli niemieckiej.

W roku 1940 - tym 9 kwietnia w nocy NKWD aresztowało ojca i wywiezło w nieznane, a 13 kwietnia tegoż roku, również w nocy zabrali całą naszą rodzinę i wywiezło na Syberię. Został nasz cały dobytek, wolno nam było wziąć ze sobą 50 kilogramów. Pół godziny czasu wyznaczili na spakowanie się. Pamiętam, że bardzo płakałyśmy, ja miałam lat 16 - cie, najstarsza siostra Janina lat 23, Średnia Siostra Emilia 18-cie i najbliższy brat Roman 12-cie lat. Dwoje dzieci siostry - Marysia 6 tygodni a Urszulka 5 lat. Mama powiąsała odzież do torbów i tak nas zabrano z domu. Na dworcu kolejowym, załadowano nas do wagonów towarowych, był to straszny widok, wojsko z karabinami a na nich bagnety, otoczyli nas i pilnowali, żeby kto nie uciekł. Słychać było płacz dzieci i lament matek. Postrątkowo nie wiedzieliśmy gdzie nas wiosa, aż po kilku dniach samarska nam szyba, wtenczas było wiadomo, że czeka nas Sybir; oprócz wody nic nam nie dali. Żyliśmy jak jedna rodzina pocieszając się i dzieląc się chlebem a tymi co nie zdążyli wziąć z domu. Wagony były zaplombowane, na stacjach słychać było jak żołnierze chodzili po dachu i bili młotkami w dach w celu sprawdzania. Przywieziono nas do stacji Kustanaj. Tam już czekały samochody ciężarowe, na które nas ładowano

i rozwożono po kołchozach. Była to Kustanajska obłaść Mendonoreńskiej rejon Kołchos Kirgiski. Oni nie znali języka rosyjskiego, ciężko było się z nimi porozumieć. Zaczęli nas rozdzielać, a że nasza rodzina była dość liczna, więc nam dali taką ziemiankę gdzie stały owce, owce wygnali i kazali nam ją zająć. Mniejsze rodziny dawali razem do kirgizskich rodzin. Było nas tam 15-cie rodzin. Ale po tygodniu zebrała się delegacja, poszła do rejonu prosić żeby nas przenieśli do kołchozu ruskiego. Prośbę spełnili dali samochody i przewieziono nas do kołchozu rosyjskiego, nazywał się Michajłowka. Tam nas wyładowano na jakimś placu i już nie dali kwater, musieliśmy sobie sami szukać i płacić za nie odzież, którą przywieźliśmy z domu. Miejscowej ludności powiedzieli, żeby się z nami nie zadawali, bo to są polskie szpiony, burżuje i pomieszczyki. Do kołchozu nas nie przyjęli, żeby tyć pracowaliśmy u kołchoźników tylko za marne jedzenie, a jeszcze tą porcją dzieliliśmy się z tymi co byli za mali żeby pracować. Gorsza była zima, trzeba było mieć walenki, żeby wyjść z ziemianki, straszne mrozy i śniegi; na noc łopaty musiały być w ziemiance, żeby rano można się było odkopać. Nie było czym palić i co jeść, ostatnią odzież mienialiśmy za żywność, żeby raz dziennie coś zjeść i jeszcze opłacić kwaterę. Szron na ścianach, mokro i wilgoć straszna, a szyby bez przerwy zamrażnięte. Przeżyliśmy zimę, jest wiosna jak na nasz czas dość późna a śnieg jeszcze leży. Jesteśmy słabi i wyczerpani, do kołchozu w dalszym ciągu nas nie przyjmują. Głód dokucza, starsza córka siostry - 5-cio letnia Marysia i 12-letni brat Roman oraz babcia idą po zebraniu, proszą o cokolwiek z żywności, idą na cały dzień, wracając wieczorem niosąc w tobołkach małe ilości różnych kęsów chleba. Nadszedł Biełaja maj, są straszne powodzie, umiera nam babcia Michalina, zachorowała na czerwonkę, znikąd żadnej pomocy. Jest to pierwsza ofiara w naszej rodzinie, przeżyliśmy ją bardzo boleśnie. W ostatniej chwili tycia prosi, żeby wziąć grudkę ziemi z jej mogiły i jak wrócimy do kraju złożyć ją na cmentarzu. Latem znów pracowaliśmy u kołchoźników,

lepiliśmy siemianki, dachy były z gliny a ściany bieliliśmy wapnem. Palce były wyżarte od wapna do krwi i tak do wojny niemiecko - rosyjskiej. Z Polski listów nie otrzymywaliśmy.

Gdy Niemiec napadł na Rosję w czerwcu 1941 roku, wtenczas zaczęto wypuszczać Polaków z łagru. Nam powiedzieli, że przyjmują nas do kołchozów. W Nowotroicku wśród Polaków wybrano męża zaufania, powstała polska placówka, która miała informować nas o zmianach jakie mogą zaistnieć. Wówczas to powiedziano nam, że będzie wyjazd do Iranu. Wszyscy zapisaliśmy się i czekaliśmy, była to wielka radość, ale żeby zdobyć żywność na drogę poszliśmy pracować do lasu, tam przepracowaliśmy dwa miesiące. W miesiącu wrześniu 1941 roku wyjechał nasz transport, podróż trwała 5 tygodni, często staliśmy na bezczynnych stacjach po kilka godzin. W drodze dostawaliśmy tylko wodę, byliśmy ofiary w ludziach. Słabsi nie wytrzymywali, trzeba było ich zostawić. Gdy dojechaliśmy do Aszhabatu tuż na granicy rosyjskiej - irańskiej, tam nas zatrzymano, zmieniono kierunek jazdy i znaleźliśmy się w Kazachstanie, była to Dzambulska obwód Czujkij rejon Kołchoz Berlik - Ustjum. Osiedlono nas w kołchozach kirgiskich w kibitkach, tam czekała nas ciężka praca i klimat, który nam nie sprzyjał. Pracowaliśmy od świtu do nocy bez jakichkolwiek wolnych dni i bez zapłaty. Dostawaliśmy raz dziennie prosę zmieloną razem z łuską, zasypane na wodę, to była taka zupa. Początkowo dawali nam pół kilograma mąki za wykonane normy, byliśmy wtenczas Stachanowcami, pracowaliśmy w pocie czoła, przy kopaniu kanałów do nawadniania i wiele innych ciężkich prac. Spaliśmy na ziemi na której oprócz trawy ze stepu nie było nic. Leżeliśmy tak jeden obok drugiego grzejąc się ciałem. Spaliśmy w tej odzieży w której chodziliśmy do pracy, na zmianę nie było już nic. Mydła i proszku do mycia nie widzieliśmy przez całe sześć lat. Gryzły nas pchły, które się łączyły w trawie a w odzieży wszy. Zaczęliśmy chorować na malarię, skończyły się racje mąki, została tylko zupa z prosą raz dziennie. Ratujemy się trochę trawą, ale step żyje tylko wianą; polujemy na psy i koty. Umierają całe rodziny.

Jest rok 1943, ojciec wypuszczony z łagru deciera do nas, jest już u kresu sił. W tym czasie tworzy się Armia Kościuszkowska, przychodzi powołania do wojska. W naszym kołchozie nie dostaje nikt bo są potrzebne ręce do pracy. Ojciec zwraca się do mnie i do siostry średniej Emilii mówiąc " idźcie ochotniczo do wojska, nie bójcie się kul, tu zginiecie wszyscy z głodu, ja w łagrze dostawałem 100 gram chleba i supę z zamierdziałych ryb, a wy i tego nie macie, może Bóg was ochroni ". Gdy wychodziłyśmy ojciec uniósł rękę i powiedział " ja was błogosławię w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, niech was Bóg prowadzi ". To były już ostatnie słowa, które słyszeliśmy od ojca. Poszłyśmy z siostrą do Nowetrojka, tam był zborny punkt. Przebywaliśmy tam przez cały tydzień. Gdy mieliśmy już odjeżdżać, najstarsza siostra Janina przyszła z kołchozu i powiedziała, że ojciec zmarł i prosiła żeby pomóc Go pochować. Grób kopaliśmy same, gdy wróciliśmy z powrotem już zmobilizowanych nie było i odjechali i więcej poboru nie było. Tak znowu wróciliśmy do kołchozu do pracy. Coraz częściej umierają Polacy. Grobów na stepie przybywa. Ludność miejscowa nie umiera z głodu, oni coś dostają, poza tym utuczają konia zabijają, a dla Polaków końska krew i kopyta, które w ogniu piekliśmy i tak obgryzali. Straciliśmy wszelką nadzieję, nikt nam nie powiedział czy i kiedy będziemy mogli wrócić do kraju, tylko pracować bo wojna jest, a my przyjechaliśmy kiedy wojny nie było.

Rok 1945 wojna się skończyła. My dowiedzieliśmy się dopiero w czerwcu, u nas się nic nie zmieniło na lepsze lecz przeciwnie jeszcze gorszy głód. Już nie jesteśmy podobni do ludzi, setki żat na naszych łachmanach, na ciele strupy od drapania a w nich wszy piją krew. Jesteśmy opuchnięci a ci co wysychali skóra przylegała do kości, ci umierali tak spokojnie jak gdyby zasypiali. Tak też umiera mój brat Roman, który w dniu śmierci kończy siedemnaście lat, trzecia ofiara naszej rodziny. Tu już nie jestem

w stanie napisać tych słów, którymi on nas żegnał, pięć lat męczarni, to był bohater, który oddał swe życie z takim spokojem. Był to czerwiec. Najboleśniej jest to, że on wiedział, że wojna się skończyła. Wszyscy byli chowani bez trumien, nawet nie było czasu naznaczyć grobu, pasły się tam wielbłądy i ziemia była srównana. Głód smusił i starszą córkę siostry Janiny Marysia poszła do Domu Dziecka w Nowotrojcku odległym od naszego kołchozu o 25 kilometrów. Gdy odjeżdżaliśmy do Polski w 1946 roku, siostra poszła, żeby ją odebrać, ale ją nie wydano, powiedzieli, że dzieci pojedą oddzielnie. I pomimo wszelkich starań po przyjeździe do Polski, Marysia mając lat 10 -ó do Polski nie powróciła. Odpowiedź brzmiąca, że takiej nie było w Domu Dziecka. Jest to czwarta ofiara naszej rodziny.

Mąż siostry Janiny Stanisław zginął w Buchenwaldzie. Są to bardzo bolesne wspomnienia, które kilka razy zaczynałam pisać i nie mogłam skończyć. Rany zabliźnione krwią, tej krzywdy nie da się zapomnieć, jest to pomsta wołająca do Boga nie o zemstę a sprawiedliwość i żeby się to nigdy nie powtórzyło. Trzeba pamiętać i przekazywać z pokolenia na pokolenie, że tam na dalekiej Syberii i w stepach Kazachstanu zostały tysiące megilł bezbronnych niewinnych ludzi skazanych na śmierć głodową za to, że byli Polakami.

Przez dziesiątki lat musieliśmy milczeć, żeby się nie narazić na sarkany i następne uderki. W swych życiorysach pisaliśmy, że podczas wojny znaleźliśmy się na terenach Związku Radzieckiego a nie deportowani. Wmawiano nam, że im zawdzięczamy swoje istnienie. Nie kierujemy się niewiścią do narodu radzieckiego, bo oni nie zawinili, winien jest Stalin i jego ekipa. Potrzebą czasu jest pamięć o tych co zginęli z ręki Stalina, że tak jak Oświęcim i inne obozy hitlerowskie, takim był też Katyń, Sybir i Kazachstan.

W Polsce pomocy nie dostaliśmy żadnej, za wyjątkiem starego domu, w którym mieszkamy do dziś ze siostrą Emilią. Jesteśmy obie wdowami.

Najstarsza siostra Janina zmarła po przyjeździe do Polski, żyje jej jedna z córek Urszula. Mama Stefania też już nie żyje.

W Bielsku-Białej nie ma nikogo z naszego transportu ponieważ my wysiedliśmy w Katowicach a transport pojechał na Ziemie Odzyskane. Jako jedyny dokument posiadany tylko zaświadczenie pobytu w Kazachstanie i przekroczenia granicy w 1946 roku. Na podstawie tegoż dokumentu w Polsce po przyjeździe zarejestrowano nas na prawach Sybiraka w Katowicach w dniu 25 czerwca 1946 r. I od tego czasu już nami nikt się nie interesował.

Są to fragmenty wspomnień wyjęte z życia na zesłaniu.

W Polsce Ludowej przepracowałam 25 lat, moja emerytura wynosi 34 tysiące zł.

OLSKO-PADZIĘCKA KOMISJA MIAZANA
DO SPRAW EWAKUACJI
osób narodowości polskiej i żydowskiej
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

AŚWIADCZENIE № 13 05823.

Ob. *Jaj*
Żozefa
i Marii

zamieszkały (a) w *Krambolskim obw.*
Imyjskiej woj. w Rosji, ul. Istjowa
Kaz. P.P.R.

udaje się wraz z członkami swej rodziny

[Faint stamp and illegible text]

na swój pobyt do Polski na podstawie Umowy
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

Pełnomocnik Polskiej Delegacji

miasto

[Faint stamp and illegible text]

Jedyny posiadany dokument pobytu w Kazachstanie
oraz
rejestracji na prawach Sybiraka